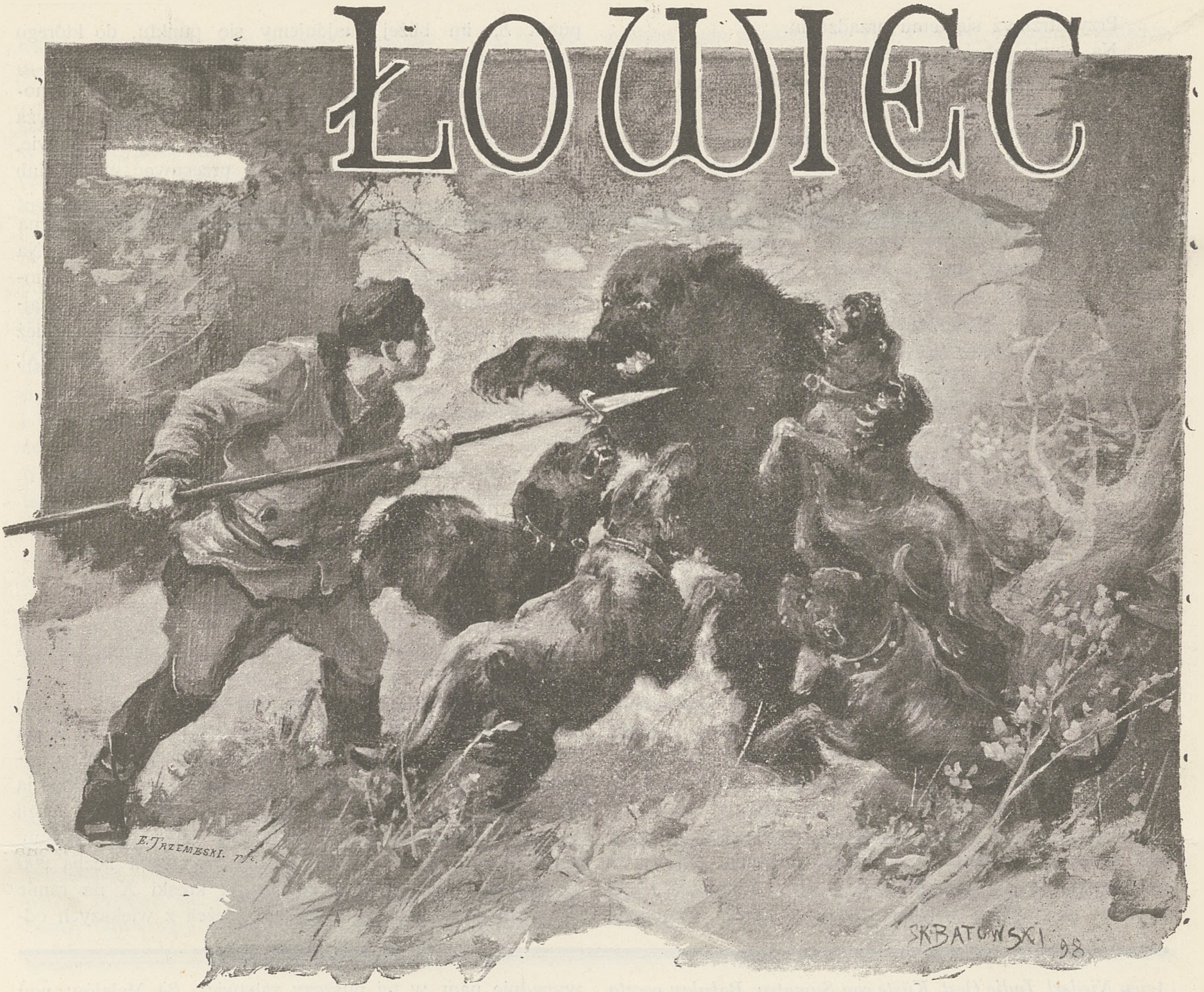
Nr. 8. Lwów, 15 kwietnia 1900. Rok XXIII.

ŁOWIEC



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

Jeszcze o sztućcach małokalibrowych.

W ostatnich czasach pojawiły się w „*Łowcu*“ głosy pro i contra broni małokalibrowej. Ja sam, należąc do zdecydowanych zwolenników małego kalibru i stalowego płaszcza u kuli, zabierałem głos w tej sprawie i głos ten wywołał odpowiedzi, w równej mierze pochlebne jakoteż i ganiące omawiany przezemnie temat.

Nie wdaję się tu w żadną polemikę, bo „*de gustibus*“ i t. d., ale wiem, że ktokolwiek dotknął się broni małokalibrowej, ten musiał przyznać jej te wysokie zalety, jakie rzeczywiście posiada. Kwestya razancyi, celności, skuteczności broni kulowej, małokalibrowej nie podlega dziś już dyskusyi. Ja, zabierając głos ponownie w tej sprawie, mam na myśli rzecz inną, a mianowicie: rzekomo epokowy wynalazek t. j. zastosowanie lunety do sztućca małokalibrowego. Powtarzam wyraźnie rzekomo epokowy, a dla czego, dalszy ciąg uzasadni.

Granice działalności sztućców małokalibrowych, tak ze względu na celność jakoteż i skuteczność są niesłychanie rozległe — niedarmo przeciwnicy tej broni nazywają ją ironicznie „Kilometerbüchse“.

Otóż sztuciec kilometrowy, jest nim na szczęście rzeczywiście; na kilometry prawie można nim trafiać i zabijać. Ale oko ludzkie, choćby najbystrzejsze, nie zdolnem jest na takie odległości rozróżniać dokładnie zarysów przedmiotów, dlatego nowoczesne rusznikarstwo zastosowało do broni małokalibrowej lunetę, zamiast a raczej obok dawnego urządzenia do celowania.

Przez lunetę zatem celujemy do przedmiotu, który chcemy trafić, mając tę korzyść, że zamiast widzieć ten przedmiot w rzeczywistej odległości, widzimy go dzięki lunecie kilkakrotnie bliżej, a wskutek tego dokładniejsze wymierzenie jest znacznie ułatwione.

Przypatrzmyż się temu urządzeniu.

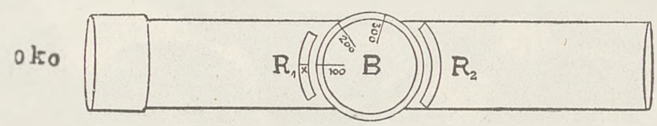
Na szynie sztućca umieszczona jest luneta, tak że jej oś jest równoległą do osi lufy. Mimo umieszczenia lunety nad szyną można strzelać ze sztućca i bez niej, używając do celowania umieszczonego pod nią dawniejszego urządzenia. Wewnątrz lunety znajduje się krzyż z bardzo cienkiego drutu, który w normalnem położeniu przecina nam pole widzenia na 4 części. Zastanówmyż się, co jest i do czego służy ten krzyż druciany, dzielący nam pole widzenia na cztery części. Z teoryi strzelania nadmienię tu dla objaśnienia, że jeżeli na sztućcu już ostrzelanym, którego muszkę przyjmiemy za normalną, zmienimy tę muszkę na wyższą, to strzelając z tego sztućca na tę samą odległość, na jaką był ostrzelony z pierwotną normalną muszką, zobaczymy, że kule padną znacznie niżej, aniżeli z normalną muszką i odwrotnie. Jeżeli zastąpimy muszkę normalną inną, cokolwiek niższą, to kule padać nam będą wyżej. Dzieje się to z powodu, że im wyższa muszka tem koniec lufy idzie automatycznie przy celowaniu niżej, a im niższa muszka, tem dla doprowadzenia jej przy celowaniu do dotknięcia mającego się trafić przedmiotu, musimy bezwiednie wznosić koniec lufy do góry.

W lunecie dzieje się to samo, punkt przecięcia ramion krzyża, nazwijmy go *S*, zastępuje nam muszkę na sztućcu i chcąc trafić coś przez lunetę musimy ten punkt *S* tak naprowadzić, ażeby krył nam punkt, który chcemy trafić. Ponieważ jednak strzelamy na różne odległości, to punkt *S* musi być raz niżej, a innym razem wyżej, stosownie do odległości na jaką strzelamy. A ponieważ, jak wspomniałem, punkt *S*, zastępuje muszkę, to musi być tem niżej ustawiony w polu widzenia lunety, im dalej znajduje się punkt, mający być trafionym i odwrotnie tem wyżej w polu widzenia lunety ustawiony punkt *S*, im bliżej znajdujemy się punktu, do którego strzelać mamy.

Ażeby to przesuwanie punktu *S* w kierunku pionowym umożliwić, jest poziome ramię drucianego krzyża ruchomem i daje się za pomocą śruby o dużej głowie, umieszczonej na wierzchu lunety, przesuwać w dół lub w górę.

Jak poniższa figura uwidocznia, jest ta śruba *B* na lunecie, umieszczona w rodzaju stałej ramy R_1 i R_2. Na ramie R_1 bliższej oka, jest jedno nacięcie słabe, *X* prostopadłe do obwodu śruby *B*. A na obwodzie śruby *B* znajdują się w różnych miejscach nacięcia czyli kreski, również prostopadłe do obwodu śruby, oznaczone przez 100, 200, 300 i t. d.

Rzecz graficznie przedstawia się następująco:



Śruba *B* działa na ramię poziome krzyża a kreski na obwodzie śruby służą nam do uwidocznienia na zewnątrz położenia punktu *S*, w polu widzenia lunety. Jeżeli śrubę *B* nakręcimy w ten sposób, że nacięcie na niej oznaczone przez *100* stanie w przedłużeniu nacięcia *X* na ramie stałej R_1, to krzyż w środku lunety będzie ustawiony tak, że strzelać możemy z największą dokładnością do małego przedmiotu, n. p. sroki, na kroków sto. Jeżeli ta sroka siedzieć będzie na kroków dwieście, musimy śrubę *B* obrócić, tak ażeby kreska oznaczona liczbą *200* na śrubie *B* stanęła w przedłużeniu kreski *X* na ramie R_1 i tak dalej, w miarę odległości. Jeżeli z większych od-

---

Asien Niederl. Indie Oest. Küste von Sumatra, Babalan poczta telegr. i port Somkallan Brandan, 15 stycznia 1900.

Kochany Panie Eustachy!

List kochanego pana nie zastał mnie w domu, a raczej dwa listy z 2-go i 8-go grudnia. Dopiero wczoraj bowiem wróciłem z ośmiodniowej włóczęgi po górach i nieprzebytych prawie lasach, gdzie wybraliśmy się sześciu Europejczyków i 35 Malai na poszukiwania odpowiedniego i dającego pewne widoki na ropę i założenie szybu wiertniczego miejsca. Szyb bowiem ostatni już ukończyłem. Doszedłem głębokości bardzo znacznej bo 2086 stóp, w stosunkowo bardzo krótkim czasie. Do tego czasu jeszcze nie mam wyznaczonego miejsca, a i w tym szybie mam jeszcze dość roboty, z wyciąganiem rur obkładowych, które potrzeba wyciągnąć, o ile się da, bo szkoda zostawić w ziemi, ale część, jak zawsze, zostać musi, nie da się bowiem wskutek obciśnięcia przez pokłady wydrzeć.

Rzeczywiście ma kochany pan słuszność, że pobyt mój w Indyach i te wszystkie przygody pozostaną mi bardzo miłą pamiątką. Ot i naprzykład tych dni kilka w lasach spędzonych, czy może być coś bardziej uroczego i przyjemnego.

Ekspedycya cała składała się z nas sześciu Europejczyków t. j. geologa, tegoż asystenta, dwóch urzędników administracyjnych, mnie i jednego amerykanina, jako fachowców wiertnictwa. Żywności i wody sodowej zabraliśmy na dni piętnaście, nie mogąc przewidzieć jak długo wypadnie nam w tej puszczy zabawić. 34 Malajów pod wodzą starszego (mandura), transportowało nasze wiktuały, napitki, rzeczy i hamaki.

Każden z nas miał prócz tego jużto doskonały karabinek lub dubeltówkę, odpowiednią ilość naboi i nóż myśliwski. W tłumokach mieliśmy po dwa rezerwowe ubrania i po dwie, co najmniej, pary butów, bo nic się tu w takiej podróży nie niszczy, a zarazem nie jest tak potrzebnem, jak buty. Malaje obywają się bez tego bardzo dobrze, ale nogi ich o bardzo grubej i twardej skórze na podeszwach nie są na przeszkody w formie kamieni, gałęzi i t. p. wrażliwe i nic sobie z tego nie robią.

Przed nami szło kilku krajowców z długimi nożami (parangami) tnąc w miejscach niemożliwych do przebycia liany i krzaki. Kierowaliśmy się z początku ku zachodowi. Dzień pierwszy zeszedł nam na posuwaniu się naprzód tylko celem dostania się trochę w głąb lasów, by tam dopiero rozpocząć poszukiwania. Posuwaliśmy się niezmiernie powoli, co chwila trzeba się było zatrzymywać, przystawać, oryentować, wycinać haszcze, by bodaj jako tako przejść naprzód, za chwilę ta sama historya. Ubranie zawadzając o gałęzie i ostre ciernie gatunku pewnej obficie tu rosnącej krzewiny szło w strzępy. Tu znów leży kolosalny pień zwalonego wichrem lub od pioruna drzewa, koloru orzechowego. Podsadzony przez jednego malaja, wylazłem z trudem na ślizką kłodę i raptem, chlup! jak w miękką pierzynę po pachy, wleciałem w głąb spruchnia-

ległości przechodzimy na mniejsze, kręcimy śrubę w odwrotnym kierunku, ażeby ją odpowiednio ustawić.

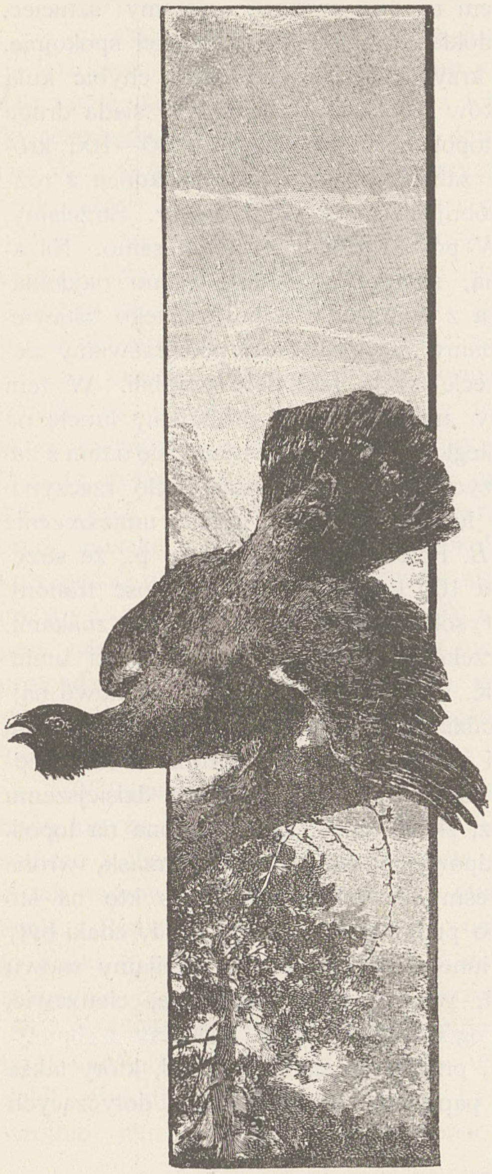
Rzeczą rusznikarskiej techniki jest, ażeby ostrzelać sztuciec jak najdoskonalej i umieścić znaki na śrubie *B* w miejscu, gdzie one rzeczywiście być powinny. Dalej rzeczą fabrykanta lunety, jest wykonać śrubę poruszającą krzyżem, tak dokładnie, ażeby zawsze równomiernie działała, to znaczy ażeby przy każdem ustawieniu zewnętrznych znaków, krzyż zajmował wewnątrz odpowiednie położenie. Chcę przez to powiedzieć, ażeby obrót śruby działał zawsze tak samo, a nie zmiennie, na wznoszenie się lub obniżenie punktu *S* w polu widzenia lunety. Żądamy więc, ażeby, gdy obrócimy n. p. śrubę *B* w lewo o 3 milimetry, punkt *S* obniżył się w środku n. p. $^1/_2$ mm i to tak zawsze, a nie ażeby innym razem, gdy obrócimy śrubę *B* tak samo w lewo i tak samo do 3 mm, punkt *S* opadł o $^1/_3$ lub $^1/_4$ mm. Czytelnicy zrozumią mnie łatwiej, gdy streszczę te życzenia w żądaniu, ażeby zawsze ten sam obrót śruby *B* sprawiał na punkcie *S* ten sam raz przez praktykę doświadczony skutek. Zawsze ten sam a nie zmienny — gdyż inaczej nigdy nie moglibyśmy na śrubie *B* porobić znaków, okazujących nam na zewnątrz położenie punktu *S* w środku lunety. Przypuściwszy tedy, że mamy doskonały sztuciec i lunetę. Idziemy na strzelnicę i ostrzeliwujemy lunetę do sztućca, tak na wysokość jakoteż i na kierunek, strzelamy na 100 kroków, 150, 200, 300 i t. d. i doprowadziwszy lunetę do punktu, że na każdą z tych odległości zadawalnia nas dokładnością strzału, robimy znaki odpowiednie na śrubie *B* i zadowoleni stawiamy wyczyszczony dokumentnie sztuciec do szafy. Popołudniu korci nas przekonać się o trafności ostrzelenia. Na wierzchołku topoli na 150 kroków siedzi wrona rysując się doskonale na tle nieba. Cel przewyborny. Otwieramy ostrożnie okno, ustawiwszy krzyż z wypróbowanym znakiem na 150 kroków, opieramy sztuciec, mierzymy długo i dokładnie i ściągamy cyngiel spokojnie. Wrona odlatuje z krzykiem. Nic dziwnego, chybić kulą wronę na 150 kroków nie sztuka. Za chwilę siada druga wrona na drugiej topoli znacznie bliżej na 80—100 kroków. Na tej topoli zabiliśmy już wron bez końca z różnych expresów, próbujemy teraz przez lunety. Strzelamy, wrona poleciała. W pół godziny trzecia tak samo. Nazajutrz zabijamy jedną, ze trzy chybiamy, mimo najdokładniejszego mierzenia z oparciem i odpowiedniego ustawienia krzyża. Zaczynamy się irytować i podejrzewamy siebie, żeśmy na lunecie znaki fałszywie porobili. W tem przekonaniu idziemy na strzelnicę i próbujemy lunetę na nowo, na różne odległości. Przekonywujemy się o tem z zadowoleniem, że przyczyną naszych pudeł było rzeczywiście złe ostrzelanie lunety, a raczej mylne umieszczenie znaków na śrubie *B*. Przekonywujemy się n. p., że strzelając ze znakiem na 100 kroków na tą odległość trafiony za nisko lub za wysoko, toż samo z innemi znakami. Dochodzimy do przekonania, żeśmy mylnie znaki umieścili. Cóż więc robić. Ostrzeliwujemy lunetę na nowo najskrupulatniej, dochodzimy do doskonałego strzelania na wszystkie odległości i zniszczywszy poprzednie znaki umieszczamy na śrubie *B* nowe, odpowiadające dzisiejszemu strzelaniu. Nazajutrz, skoro dzień, kracze wrona na topoli. Ustawiamy znak odpowiedni na śrubie *B*, trzask, wrona spada. Brawo, jesteśmy kontenci, jakby nas kto na sto koni wsadził, trudno przedtem było trafić i gdy znaki były fałszywe, teraz co innego. W ciągu dnia zabijamy znowu na różne odległości, wrony, sroki, jastrzębie, cietrzewie, coś chybiamy, ale ogółem zadowoleni jesteśmy z lunety.

Parę dni mija, przyjeżdża do nas sąsiad, który także jest myśliwym, a papieżem w kwestyach dotyczących broni.

łej kłody. Obwalany cały wydostałem się przecie, ale musieliśmy drzewo przeciąć, by mogli przejść wszyscy, co zresztą bardzo łatwo poszło. Po południu trafiliśmy na jakiś strumyczek. Korytem tegoż, jużto skacząc po kamieniach, jużto brnąc w wodzie, uszliśmy ze cztery kilometry. Natrafiliśmy na trochę szersze, suche miejsce, gdzie widocznie w czasie pory deszczowej wezbrany potoczek rozszerza swe koryto. Postanowiliśmy posilić się tutaj i przenocować. Nie wiem czyśmy za dzień cały uszli jakie 12 kilometrów, ale mimo to, byliśmy porządnie zmęczeni, a i nasi Malaje z ciężarami nie mogliby iść dalej. Do pobliskich drzew i krzaków poprzymocowywaliśmy hamaki, kulisi (nazwa robotników) nacięli i nazbierali gałęzi i za chwilę buchnął ogień pewno raz pierwszy ludzką ręką wzniesiony w tem miejscu. Po drodze jeszcze ubiliśmy dwa dzikie bażanty ogromne, więc prócz konserw, mieliśmy świeże doskonałe mięso. Służący jednego z nas, Malaj, umiejący jako tako gotować, przyrządził wcale nie zły posiłek. Malaje zaś raczyli się swą zwykłą potrawą, t. j. ryżem gotowanym i kawałkiem suszonej, szelmosko śmierdzącej ryby, popijając gotowaną (w blaszance z benzyny) herbatą, którą nabierali zwiniętym w trąbkę liściem. Butelka doskonałego Sherry wcale nie źle wpłynęła na pokrzepienie nas. Siedząc przy ognisku, bo w głębokich lasach, gdzie wśród najpogodniejszego dnia mrok panuje noce są stosunkowo chłodne, opowiadaniami różnemi skracaliśmy sobie czas. Tymczasem Malaje powycinali trochę haszczy i w kilku miejscach na około i dla ochrony przed dzikimi bestyami pozapalali. Małpy zbudzone ze spokojnego snu podniosły wrzaski piekielne, ale ciekawe, jak zawsze, przychodziły na pobliskie drzewa mrucząc i piszcząc jakby się naradzały, co to ma znaczyć. Widocznie także ogniem zwabiony przyszedł jakiś duży zwierz w pobliże, którego Malaje wzięli za tygrysa, strzeliliśmy we dwójkę kulami w to miejsce, gdzie było słychać szelest, ale więcej dla postrachu, po strzałach słyszeliśmy uciekającego zwierza, ale tożsamości tegoż nie skonstatowaliśmy. Już było po dziewiątej, jak udaliśmy się na spoczynek w hamaki, twarz przykrywając chustką dla ochrony przed rojami moskitów i maleńkich, dotkliwie kąsających muszek agas-agas.

Warty z Malajów powyznaczaliśmy na całą noc.

Raptem po północy, zbudził mnie jakiś ryk w pobliżu. Instyktownie chwyciłem leżący przy mnie karabinek. „*Siapa itu*“, pytam Malai czuwających, co jest? *Matziam tuan brankali* (tygrys panie pewno), *mana* (gdzie?) *dari sungei* (w potoku). W tej chwili jeden Malaj dorzucił suchych gałęzi do ognia przygasającego. Przy blasku ognia zobaczyłem może o jakich 15—20 kroków czarną masę stojącą w wodzie rzeczułki. Wychyliłem się lekko z hamaku, by módz zmierzyć i dałem w tę masę czarną ognia. Ryk krótki, chrapanie, plusk wody. „*Dapat*“, wrzasnął malaj (trafiony) i wszyscy już rozbudzeni chwycili za noże gotowi do obrony, gdyby raniony zwierz chciał się



Jak tu z takim gościem nie pójść na strzelnicę, aby mu pokazać strzały przez lunetę. Strzelamy, kule padają coś na lewo, to znowu za wysoko, słowem kiepsko. Sąsiad-papież uśmiecha się pod wąsem. Klapa okrutna z lunetą. Ha, nie ma rady jedziemy z lunetą do Lwowa. Zgromadza się komisya na strzelnicy. Sąsiad-papież, drugi znawca ja i dwu pierwszych rusznikarzy lwowskich. Przed tem forum wytaczam moje żale na lunetę. Zaczynamy strzelać i pokazuje się, że nie ja mam racyę, lecz luneta, gdyż dziś znowu strzela sztuciec doskonale, ale z pierwotnemi zamazanemi znakami. Zaczynam nic nie rozumieć, wracam do domu po to, ażeby w domu się przekonać, że luneta ma dziś znowu inną chimerę, że ze znakami uznanemi za dobre na lwowskiej strzelnicy, dziś w domu strzela najfatalniej. Zaczynamy próbować, znaczyć i nareszcie znowu sztuciec i luneta się zgadzają — i strzela doskonale. Znaczymy więc już trzecie znaki z kolei. Tego samego dnia popołudniu pokazuje się, że i te znaki dyabła warte i tak ciągle w kółko.

Posiadam dwa sztućce z lunetami, dwa inne miałem do próby u siebie czas dłuższy i wszystkie cztery lunety zachowywały się identycznie. To jest nie zachowywały ostrzelania. Można było n. p. rano ostrzelać najdokładniej lunetę, porobić na śrubie *B* znaki, popołudniu znaki te były już nic nie warte i na celności strzału polegać nie było można. Słowem z mego doświadczenia z lunetami wynika (a wystrzeliłem do celu i zwierza kilka tysięcy ładunków przez lunetę), że luneta strzela inaczej rano, inaczej popołudniu, inaczej znowu nazajutrz, inaczej w dniu jasnym, inaczej w pochmurnym, inaczej gdy słońce mamy z prawej, inaczej gdy z lewej strony, inaczej gdy słońce w plecach, a inaczej gdy przed nami. „*La donna e mobile*", ale żadna nie dorównuje lunecie w zmienności. Luneta zastosowana do sztućca, jest w teoryi rzeczą nadzwyczajną, niestety praktyka wykazuje co innego i nigdy nie można być pewnym, ustawiwszy znak na śrubie *B* n. p. na 200 kroków, że się równocześnie ustawiło także i punkt *S* w lunecie odpowiednio do odległości 200 kroków.

Tyle z moich doświadczeń w sprawie lunet na sztućcach. Pragnąłbym bardzo, ażeby i kto inny, który miał do czynienia z lunetami wypowiedział o tej kwestyi swoje uwagi lub podzielił się z szerszemi kołami swojemi spostrzeżeniami. Pragnął, bym bardzo ażeby panowie rusznikarze także coś

---

rzucić. Moi kompanioni przebudzeni ze snu strzałem, co się stało; pytają, krótkimi słowami objaśniłem ich. Powyskakiwaliśmy z hamaków z bronią gotową do strzału. Po chwili, długiej jak godzina, ustało chlupotanie. Jeden z Malai chwycił jasno palącą głownię i ruszył z kilkoma naprzód. *Mati suda* (już umarł). Pobiegliśmy tam. Zobaczyłem rozciągniętego, z łbem zakrwawionym, do połowy w wodzie, czarnego, dość dużego niedźwiedzia. Udało mi się szczęśliwie, bo o racyonalnem mierzeniu mowy być nie mogło, wpakować mu kulę w sam łeb, tak że w mózgu została kula i prawie z dymem padł trupem. Ośmiu ludzi z trudem przywlokło bestyę do ogniska. Odciąłem wszystkie cztery grube mięsiste, z dużymi pazurami łapy, bo skóra zresztą mało co warta i po odcieczeniu krwi wysmarowałem miejsca obcięte mydłem arszennikowem, którego zapas każdy z nas miał z sobą, celem zakonserwowania ubitej zwierzyny. Resztę mięsa zakopać kazałem w pobliżu na drugi dzień. Niedźwiedzi jest tutaj gatunków kilka i często nawet zbliżają się nocami do siedzib ludzich, węsząc słodkie korony palm kokosowych, które obgryzają doszczętnie,

Reszta nocy przeszła już spokojnie.

Miejsce naszego pierwszego spoczynku obraliśmy, jako punkt stały, z którego robić mieliśmy wycieczki w różne strony.

Nie oddalając się zbytnio, powyznaczaliśmy w odległości mniej więcej 100 metrów jedno od drugiego miejsca na tak zwane odkrywki. Są to kilkometrowej głębokości studnie, służące do zobaczenia nachylania i kierunku pokładów, celem zoryentowania się w położeniu warstw roponośnych.

Podczas gdy część robotników zajęta była kopaniem studni, co trwało blizko dzień cały, mieliśmy dość czasu do buszowania po gąszczach za polowaniem. Podzieliliśmy się na dwie partye po trzech. Strzelaliśmy wszystko co było godne naboju prochu. Ja ubiłem dwa bażanty i pawia, trzy dziki (których tu moc nieprzebrana), dwie malutkie, nie większe od jagnięcia antylopki i 11 małp, w czem 2 lutony na *coup double* kulami. Skóry z małp i antylopek zachowałem po zakonserwowaniu i mam je wszystkie, teraz schną na słońcu.

Uśmialiśmy się z orang-utanów. Małpy bowiem wszystkie, jeżeli nie były przedtem strzelane, zupełnie nie boją się człowieka, tylko okazują pewien, jakby niepokój i owszem garną się do siedzib ludzkich, ale orang-utan (człowiek lasu), małpa dochodząca 8 stóp wysokości i silna strasznie, raniona, bardzo niebezpieczna dla myśliwego, gdy zobaczy człowieka złazi niżej (po ziemi nie chodzi prawie nigdy) na gałąź i zaczyna stroić różne miny. Czasem ułamie gałąź i rzuca, to znów ze zręcznością godną podziwienia siłą i pewnością siebie, jak piórkiem rzuca sobą na odległą o metrów kilka gałęź. Dwa widzieliśmy, może z godzinę mieliśmy za darmo przedstawienie najpociesznie jsze, ale ponieważ para ta była na razie bezdzietną (o co się zresztą w naszej obecności skrzętnie starała

o tem powiedzieli i ażeby mogli raz skonstatować i pokazać nam lunetę, któraby wolną była od tych chimer.

Lunetę w tym stanie, jak jest obecnie, uważać można tylko jako przedmiot służący do bardzo kosztownych experymentów, jako jednak środek pomocniczy w praktyce łowieckiej uważać niestety jej nie możemy, chyba gdybyśmy codziennie przed użyciem jej przekonywali się najpierw na strzelnicy w jakim się dzisiaj zbudziła humorze.

(C. d. n.) *Aleksander Przedrzymirski.*

„ROK MYŚLIWCA"

Wincentego Pola z rysunkami Juliusza Kossaka.

Ostatnie dnie marca, a pierwsze kwietnia mało różnią się od siebie, w tem tylko cała różnica, że w czem nie dopisał koniec marca, to nagradza początek kwietnia.

Kwiecień, jużciż zapewne nie darmo tak nazwany, zowie się u ziemian miesiącem „zielonej trawki", a u myśliwych pod koniec miesiącem „ciepłej rosy". Do tej zielonej trawki wzdycha człowiek, ryczy bydlę i kwili wszelka ptaszka, trwożliwa o swe gniazdo i czekająca zagajenia wiosennego maju. Ale cóż?

„Póki z wieczora nie zajdą kosy,
Nie będzie ciepłej dla ziemi rosy",

a póki ciepłej rosy nie będzie, nie będzie i zielonej trawki. Najwcześniej pękają wierzby i agresty. Na św. Wicenty dnia 5-go kwietnia ma już wszelka ptaszka, która do ziemi wróciła, parę swoję; ztąd też przyslowie myśliwych, że:

„Święty Wicenty, wesoły z ptaszęty".

Zieloną trawkę wyprzedzają leśne drzewa: klon, jesion, olcha, modrzew i wilcze łyko poczyna kwitnąć, a po ciepłych ściankach i uwrociach okrywa się dereń i głóg wcześniejszy kwiatem.

Szare marcowe pole poczyna się nawodzić barwami, a jak się zwolna brunatna rózga lasów mieni, czem więcej narastają pączki przyszłego listowia i kwiatu, w tem więcej odcieni i kolorów poczyna się zmieniać szary krajobraz na lesie, po łanach i łąkach. Nie bywa to tak samo co roku: czasem ożywią się świeżą zielonością pierwej łąki, czasem pierwej oziminy, a podług tego co się wprzód

---

także), żal nam było strzelać, gdyby było małe, to co innego, bo taki orang-utan złapany, naturalnie po uśmierceniu starych, chowa się doskonale i uczy różnych sztuk bardzo łatwo i chętnie, przytem tak podobny do człowieka, że Darwin, obserwując orang-utana i porównując go z jaką brzydką Malajką, pewno małą między nimi znalazł różnicę i stąd wziął swoją teoryę. Zresztą nieprzyjemnie po prostu jest strzelić do tej małpy, abstrahując już poranienie go. Widziałem raz jak w mej obecności strzelił pewien Holender do orang-utana w chwili, gdy tenże stał spokojnie na gałęzi. Lewą łapą trzymał się gałęzi, a prawą przytrzymał miejsce, gdzie mu w pierś kula weszła, nabrał potem na łapę krwi, przypatrzył się jej uważnie, strzepnął raz, powtórzył czynność tę raz jeszcze i powoli zaczął się słaniać, aż runął bez życia na dół. Przyjemny to widok nie był bynajmniej. Zdawało się, że chciał przemówić, „com ci zrobił i za co mnie pozbawiasz życia".

Ostatniego dnia, gdyśmy mieli zejść do świeżo wykopanego dołu, usłyszałem w pobliżu pisk jakiś, skoczyłem w to miejsce i przedarłszy się przez krzaki, ujrzałem olbrzymiego węża (36 stóp długi), a przed nim piszczącą antylopkę. Wąż nie zwracając uwagi na nic, co się dokoła niego działo, z lekko do góry podniesionym łbem hypnotyzował po prostu zwierzątko. Jak przykuta stała biedna, patrząc na swego wroga. Wąż przysuwał się coraz bardziej i wznosił coraz wyżej łeb powoli przysuwając ale bezustannie korpus. Językiem jak widełki, czarnym, sycząc lekko, raz po raz dotykał zwierzątka, nareszcie trącił silniej pyskiem i w tej chwili pochwycił ją za łebek i dwa razy owinął ciało. Biedne zwierzątko fiknęło parę razy tylnemi nóżkami, wyraźnie usłyszałem trzask łamanych kosteczek i po chwili żyć przestało. Umyślnie nie przeszkodziłem temu wiedząc, że wąż mi nie ucieknie, a może drugi raz w życiu nie będę miał sposobności zobaczyć tego. Po chwili wąż popuścił uścisku swego, wysunął łeb i zabrał się do połknięcia. Najprzód łeb. Stałem w krzakach nie dalej jak dziesięć kroków i byłem tak zajęty tem widowiskiem, że nie zauważyłem nawet jak jeden z Europejczyków stanął tuż za mną i przyglądał się temu również. Powolutku wąż otwierał coraz bardziej paszczę, mięśniami szyi wciągając coraz głębiej zwierzę, aż nareszcie po upływie może 10 minut kopytka tylne zniknęły w paszczy. Za chwilę przesunął swą zdobycz aż do środka ciała swego. Wtedy zmierzyłem prosto w sam łeb, duży jak ręka dużego mężczyzny i dałem ognia. Kula strzaskała łeb. Ale ogromnem swem ciałem ruszał na wszystkie strony, ogonem walił jak cepem. Był to wąż z gatunku pitonów, bardzo wielki. Skórę kazałem ściągnąć, teraz suszy się jeszcze, poślę kochanemu panu kawałek jej na portmonetkę lub porte-cigarre, gdy wyschnie zupełnie.

Wróciłem po tych ośmiu dniach obdarty, odrapany, pokąsany przez moskity, zmęczony porządnie, ale zupełnie nie żałuję tego i kontent jestem że mogę kochanemu panu coś ciekawego donieść. *K. D.*

ożywi, wróży ziemianin rok dobry na paszę lub snop a myśliwy rok dobry na wodne i błotne ptactwo, lub na zbożową i stepową ptaszkę, na przepiórki, kuropatwy i dropie. Bez względu wszakże czy się wprzód łąki, czy oziminy zazielenią, pilnuje las swojej pory.

Ptactwo około mieszkań ludzkich wyzimowane po wraca teraz do lasu, gdzie i drapieżne takrocznych gniazd szuka, a około mieszkań ludzkich gromadzą się w sadach, szpalerach i przylaskach wdzięczni śpiewacy wiosny.

Jeżeli w zimowych miesiącach roku można było policzyć wszystkie głosy natury, to teraz spływają wszystkie głosy napowietrzne i nadziemne w jeden chór wielki, wielki i pochwalny, sławiący wiosnę na ziemi, a Boga na niebie; — od skrzeczenia żabek począwszy, które się zrazu tylko pojedynczemi odzywają głosami, aż do kruczenia lecących żórawi, które szeroko i z wysoka zapowiadają światu powrót wiosny i swój powrót do ziemi, — spływają wszystkie głosy natury w jeden chór wielki, pochwalny!

Często jeszcze ściśnie nocą przymrozek wierzchem ziemię, która do gruntu puszczać poczyna; często jeszcze rzuci szarga mokrym śniegiem, lub suchemi krupami; często jeszcze nawidzają zamietne burze ziemię na wiosennem porównaniu dnia z nocą z gwałtownością tej porze właściwą; często przeciągają tak zwane „planety" po kwietniowem niebie i nie darmo pono mówi przysłowie, „Że kwiecień plecień!" Wszakże, byle na chwilę zabłysło słońce, wyczyszcza się błękit nieba i odzywa się znowu cały chór śpiewaków od sadów, krzewin i lasów, ledwo co minioną burzą ociekłych, a zielona trawka pcha się gwałtem do świata. Tu przypomina mi się co wiosnę wiersz Drużbackiej:

„Wolno ci, wiosno, dla twojej zabawki
Dziś urodzone straszyć śniegiem trawki..."

Często wszakże się zdarza, że prawdziwą wiosnę mamy w kwietniu i że nawet tak bardzo się ociepla, iż pierwszy grzmot i błyskawica na goły las spada. Źle wróżą sobie ztąd ziemianie: jeżeli „nad górami" po raz pierwszy zagrzmiało, t. j. od południa, od Karpat, wróżą rok suchy; jeżeli „nad morzami" to jest od północy, wróżą rok mokry; a jeżeli „nad lasami", to wróży sobie myśliwy rok dobry na knieje, kiedy rok suchy na kurkę i stepową ptaszkę dobry bywa, a mokry na wodną i błotną. O suchem lecie wróżą także wydry, jeżeli po wywiedzeniu młodych, gromadami wielkiemi rzekami w dół za wodą płyną, a o mokrym, bobry, jeżeli się z domów swoich wynoszą, i dzikie kaczki, gdy po drzewach gniazda kładą.

Początek kwietnia tak jest różnym od końca, iż zaledwo uwierzyć można, że to ten sam miesiąc. Z początkiem wszystko szare, z końcem już zielony i umajony świat.. Około połowy kwietnia, kiedy słomka już ciągnąć przestaje, świegoce słodko o ranku pod strzechą jaskółka i muska oblicze wód oczyszczonych. Co to za wojna z wróblami, które ich gniazdo w posiadanie wzięły! Słabsze lepią nowe gniazda, silniejsze odbijają od gniazd swoich szarego Tatara, a niekiedy, gdy tego nie mogą, zamurują w gnieździe najeźdzcę żywcem za karę.

Jak skowronek, ptak najrańszy, jak bocian, stróż domowej strzechy, jest zwiastunem dobrych nadziei i wiosny, tak powrót jaskółki jest zapowiedzią ciepłej pory i ciepłej rosy. Co to za radość dworu czy chaty, gdy po raz pierwszy zaświegocą ponad głową domowników!

W ślad wracających jaskółek, przybywają także turkawki i synogarlice, młode wiewiórczęta wychylają drobne główki trwożliwie z wiszącego gniazda, a już znacznie wprzód wraca całemi gromadami świat owadów do życia. Z każdym dniem cieplejszym i najpóźniejsze ptaszki wracają, najprzód kukułki, a następnie gajówki, które podobno więcej niż całą drugą połowę gnieżdżącego się u nas ptactwa stanowią.

Teraz, gdy pod koniec kwietnia słowik się najprzód nieśmiało odzywać poczyna w cieniu agrestów i łóz, mieni się cała szata lasów, a sady i futory okrywają się kwiatem.

To dopiero kwiecień prawdziwy!

Gdy nastała wrzawa wodnego ptactwa wracającego z cieplic, które myśliwy bije bez względu na to że lekkie, bo nie uważa go za swoje, ale za wędrowne; gdy ciąg słomek skończony, to ponętny całem obudzeniem się natury dla człowieka: wówczas można już strzelbę zawiesić na kołku i na czas niejaki powiedzieć sobie: „basta!" bo wszelka ptaszka kwili na gniazdeczki, szuka pary, ściele gniazdo, niesie jaja, lub siedzl już na jajach, a kuropatwa wywiodła już kurczęta.

W kniei tak samo: odyniec i wycinek ryje za słodyczką po gąszczach i nikt go nie szuka, warchlaki chodzą osobnem stadem, a samury leżą już po ostępach w barłogu.

Jelenia swędzą rogi, więc odbija się od stada i czemcha je na rzadkim lesie; sarny wychodzą na zręby, a sarniuk ociera jeszcze i w tym miesiącu łyko, dziwnie zły i trwożliwy. Rogacze, łanie i sarny mają w tym czasie ladaco mięso, a skórę podziurawioną, bo się poczwarki z jaj pod skórą wylęgłych owadów przez skórę wygryzać poczynają, co wiele cierpienia tej zwierzynie sprawia; jelonki takroczne zrzucają jeszcze rogi. Szaraki stare mają młode, takroczne idą w parkot. Młode lisy wywiodły się już po jamach 3—9. Kuny mają już także młode 3—4; toż tchórze 3—6, wydry 2—4, żbiki 4—6 kociąt. Ciepłemi nocami wywodzi już borsuk młode przed jamę. W liściastem gnieździe leżą już także młode wiewiórczęta.

Słowem, że na nic polowania niema; jest to miesiąc ni z pierza, ni z mięsa, ni ze skórki, bo się w tym czasie gniazdo wszelkiej ptaszki i zwierzyny odnawia. Ztad razem z ciągiem słomek, ustaje także polowanie na błotne wędrowne ptaki, na grzywacze, głuszce, jarząbki i cietrzewie, a kto przysmaczki lubi, podbiera jaja czajek, które w okolicach jeziornych i błotnych krzykiem swoim zagłuszają głos wszelkiego innego ptactwa.

W tym czasie najwłaściwiej zająć się odnowieniem gniazd psów legawych i układaniem młodych psów, dla których w tym roku pierwsze idzie pole. Szczenne suki mają być po psiarniach oddzielone i dobrze żywione; strzelby do naprawy dane; rozjazdy i letnie siatki sporządzone lub odnowione; myśliwskie czółna naprawione lub ciosane znowa, a parkany czy płyty psiarni opatrzone nanowo, żeby się psy nie wykradały, nie wykopywały, nie wynosiły i nie psuły zwierzyny, która gniazdo odnawia.

Siła żywotna kozła.

Od czasu kiedy broń małokalibrowa znalazła zastosowanie w myśliwstwie, wywiązała się dość często powtarzająca się w różnych łowieckich czasopismach, a nawet w naszym *„Łowcu"*, — polemika na punkcie, które sztućce są lepsze t. j. małokalibrowe — czy dawniejsze o kalibrze większym (n. p. 11/mm)

Spotykało się i spotyka się różne zdania: pro i contra, popierane częstokroć przykładami, ale o ile z przytoczonych doświadczeń mogłem wywnioskować, nic one jeszcze nie rozstrzygają, gdy chodzi o skuteczność strzału, bo tak zwolennicy małokalibrowej broni jak i wielkokalibrowej mogą się pochwalić jednym i tym samym prawie rezultatem.

Jedna rzecz wydaje mi się być rozstrzygniętą w zupełności, a mianowicie tą, że przy sztućcach małokalibrowych centrowność strzału, jest większa, bo pocisk posiada mniejszą elewacyę. Jeśli jednak zważymy, że nie strzelamy w zwykłych u nas warunkach dalej, jak na 150 kroków, na którą to odległość strzał z dobrze ostrzelanego sztućca jest jeszcze bardzo centrownym, a jeżeli z drugiej strony uwzględnimy wadę małokalibrowej broni, a mianowicie: zwiększone niebezpieczeństwo przy posługiwaniu się taką bronią, jeśli więc to wszystko zważymy, sądzę, że podnoszoną wyższość mniejszych kalibrów należy uważać jako nieco przesadzoną.

Tam gdzie się poluje na kozice, a więc zwierzynę, do której strzela się ze znaczniejszej odległości — broń małokalibrowa może zasługiwać faktycznie na pierwszeństwo, bo jest centrowniejszą, a nawet i wada jej dalekonośności prawie odpada w tych warunkach, bo w górach kula nie idzie światami, tak jak w terenie płaskim, a zresztą trudniej tu spotka człowieka, a więc poprostu tam jest bezpieczniejszą i użyteczniejszą broń małokalibrowa.

Pomijam jednak drugi wzgląd t. j. wzgląd centrowności, a powracam do pierwszego t. j. do skuteczności strzału pod względem sprowadzania szybciej śmierci u zwierzyny.

Jest przecież rzeczą jasną, że zwierzę ginie prędzej, jeśli mu uszkodzimy ten organ, którego niefunkcyonowanie sprowadza śmierć albo natychmiastową, albo w krótkim bardzo przeciągu czasu, ginie zaś zwierzę później, jeśli mu uszkodzimy ten organ, który jest wprawdzie niezbędnym do życia, ale którego uszkodzenie stoi w bliższym związku z ustrojem nerwowym, albo z krążeniem krwi. Jednem słowem chodzi tu o to, gdzie kula lub jej odłamki, (jak przy expanzie) trafią i jakiego rodzaju spustoszenie sprawią w szlachetniejszych partyach organizmu.

Zdaje mi się, że już większego spustoszenia nie potrzeba, jakiem jest działanie kuli expresa (expanzywnej) kalibru 11. m/m, a jednak mimoto zdarzają się często tak dziwne przypadki, że ledwie wierzyć się chce, że to jest możliwe. Fakta, które tu przytoczę niech będą tego dowodem.

W roku ubiegłym ubiłem 4 kozły z expresa kal. 11-m/m, z których niestety żaden nie rulował w ogniu, a przypisuję to tylko dziwnemu zbiegowi okoliczności t. zw. „pechowi".

Kozioł Nr. 1. strzelony na 120 kroków na połeć. Kula weszła w połowie ciała w miejscu, gdzie opona przegradza jamę brzuszną od klatki piersiowej. Kozioł po strzale nie zrobił ani kroku, ale stał ze zwieszonymi wnętrznościami.

Druga kula trafiła w komorę (w płuca) rozerwała je w kilku miejscach, nie wyszła na wylot, ale ugrzęzła pod łopatką. Po tym strzale kozioł ruszył w wolnem tępie i padł w odległości 230 kroków, ale żył jeszcze, musiał więc być dobitym.

Kozioł Nr. II. strzelony na 35 kroków na połeć, w komorę, kula przebiła i rozerwała płuca, tuż ponad sercem i wyszła na wylot pomiędzy żebra, robiąc większy wylot.

Kozioł po strzale w szalonym pędzie zwrócił się na mnie na sztych, ale zataczając koło po 40-tu krokach padł nieżywy.

Kozioł Nr. III. Strzelony na 30 kroków na kulawy sztych w łopatkę. Kula zrobiła u wejścia bardzo wielki otwór, złamała łopatkę, przebiła płuca i żołądek i wyszła koło kłęba na wylot. Po strzale ruszył w szalonym będzie, druga posłana mu kula, już tym razem na połeć, trafiła w komorę obok zgięcia łokciowego, oderwała górną połowę serca, rozerwała płuca i wyszła na wylot, robiąc mało co większy otwór, od wejścia. Po tym strzale uszedł jeszcze kozioł 50 kroków i padł nieżywy.

Kozioł Nr. IV. strzelony na 45 kroków na połeć w komorę. Kula weszła tuż za zgięciem łokciowem lewej łopatki, rozbiła serce w puch, rozerwała dolną część płuc, wychodząc przez prawą łopatkę, zgruchotała ją kompletnie. Pomimo tego, że kozioł ów miał już dawniej odstrzeloną przez kłusowników prawą tylną nogę w kolanie i pomimo tego, że w chwili strzału złamałem mu prawą przednią nogę w łopatce, ruszył z miejsca w tak szalonym pędzie, że byłem początkowo pewny, że go chybiłem. Tak strzelony kozioł i w takich warunkach uszedł jeszcze 90 kroków i uderzywszy się o graba, padł nieżywy. Jak ten kozioł szedł, a właściwie pędził na dwóch nogach i to lewej przedniej i lewej tylnej, tego pojąć do dzisiejszego dnia nie potrafię i gdyby nie to, że widziałem to na własne oczy, poprostu nie uwierzyłbym.

Coś podobnego zdarza mi się, już po raz drugi w życiu.

Będąc jeszcze młodym chłopcem wybrałem się pewnego czasu z leśniczym na dziki, w miesiącu sierpniu, z psami gończymi, zaprawionymi także do dzików. Po bezskutecznem poszukiwaniu dzików i psów, których połapać nie mogliśmy, powracamy drożynką leśną do domu, gdy wtem słyszymy gonienie psów i spostrzegamy wspaniałego szóstaka, przecinającego nam drogę w odległości około 40 kroków. Leśniczy, który był na przodzie, strzelił do niego grubym śrótem i po strzale szóstak rulował w ogniu na miejscu, ale skoro tylko psy go doszły, zerwał się i poszedł, jakby zdrów, a jak szybko szedł mogliśmy z leśniczym wnioskować po głosie szybko oddalających się psów. Warto było obserwować mi leśniczego, który był już pewny strzału i gdy kozioł rulował

w ogniu, tryumfująco na mnie spoglądnął. Staliśmy tak nadsłuchując, w którą stronę psy poszły za kozłem i długo jeszcze słyszeliśmy ich głosy, aż ucichły w przyległym rewirze o jakie dwa kilometry oddalonym od miejsca strzału.

Biedaczysko leśniczy starał się uniewinnić wobec mnie i siebie, dowodząc, że to „stara Wasyłycha“ temu winna, bo ile razy ją spotkał, miał zawsze podobne powodzenie, a dziś jeszcze do tego spotkał ją z próżnymi konewkami i przeszła mu drogę na poprzek, machnął ręką, strzelbę zawiesił obojętnie na ramię i ruszył wolnym miarowym krokiem i ze spuszczoną w smutku głową w kierunku do domu. Ja będąc młodym zapaleńcem, chciałem koniecznie iść w kierunku psów, ażeby się przekonać co się z kozłem stało, ale mój stary leśniczy popatrzył na mnie dziwnym wzrokiem, dając mi do zrozumienia, że kozioł dobrze strzelony, tak przed psami nie idzie i to jeszcze przed takimi psami, jak „Lutnia“ i „Zagraj“, bo były to rzeczywiście bardzo chyże psy, które silniej postrzeloną zwierzynę „na oko“ dochodziły.

Widząc, że się opiera, uciekłem się do fortelu i powiadam mu: „Musimy iść tam przynajmniej, ażeby psy nawołać i połapać, ażeby ich nam kto nie postrzelał, gdy uniosą się za czem i przejdą granicę“. „Lutnia sama trafi do domu, Zagraj przyjdzie za nią!“ była cała odpowiedź mego desperata.

Nagle przychodzi mi do głowy, że po strzale nie patrzyliśmy się na miejsce, gdzie kozioł rulował. Idę więc na to miejsce i widzę obfitą farbę na liściu, wołam leśniczego i pokazuję mu farbę, ale ten machnął znowu ręką i ze spokojem i determinacyą wypowiedział tylko te słowa: „Ta, cóż z tego, kiedy Wasyłycha!“ ale ja nie zważając, już na mojego towarzysza idę dalej za farbą i znajduję ją coraz obfitszą, a przytem od czasu do czasu trzaski, prawdopodobnie pochodzące z piszczel.

Nie oglądając się więc już na mojego towarzysza spieszę, jak tylko moje młode nogi na to pozwalały za farbą, a i mój strapiony leśniczy *nolens-volens* musiał za mną podążać, bo nie wypadało mu „panicza“ opuszczać.

W ten sposób przeszliśmy cały rewir, a więc około 2 kilometry i w miejscu gdzie mieliśmy przechodzić do drugiego rewiru, spostrzegamy na łączce leżącego kozła, pysznego szóstaka, a za nim Lutnię wyszczerzającą zęby do Zagraja, który widocznie nie podzielał zapatrywań swojej towarzyszki i chciał się dobrać do sarnika, ale przyzwyczajony widać do szanowania woli swej nadobnej podżarej towarzyszki, uważał za stosowne odstąpić od swych zamiarów, choć go to widocznie wiele kosztowało, bo dwie długie i obfite nitki śliny u kątów pyska spływające, najlepszym były tego dowodem.

Była to scena, jakiej nigdy w życiu nie zapomnę, bo i widok kozła, którego i ja poniekąd wskutek przekonania leśniczego (nie ze względu na Wasyłychę) nie miałem nadziei odnaleść i widok psiej polityki i wreszcie widok osłupiałego i jeszcze nie wierzącego leśniczego, wszystko to złożyło się na to, ażeby taka chwila długo pozostała w pamięci.

Jakież jednak było zdziwienie nasze, gdy zbadaliśmy jak kozioł był strzelony. Oto strzelony był doskonale w komorę, a przytem prawa łopatka zgruchotana, a lewa noga zaraz poniżej łopatki złamana. Wynikało z tego, że kozioł ów nie miał obu przednich nóg, a wytarty na koszu piersiowym między przedniemi nogami włos wskazywał na to, że kozioł chyba podpierając się tylnymi nogami, wykonywał rzuty sobą naprzód i w ten sposób ratował się ucieczką, ale niepojętą jest rzeczą dla mnie, jak mógł ów kozioł wykonywać te ruchy tak szybko, jakby miał zdrowe wszystkie cztery nogi, jak mógł ujść tak szybkim psom, jak Lutnia i Zagraj i jak mógł tak daleko się zapędzić.

Teraz dopiero leśniczy był święcie przekonany, że tylko „stara Wasyłycha“ to wszystko narobiła.

Przytoczone wyżej przykłady i zdarzenia pozwalają mi przypuszczać, że nieraz pomimo tego, że strzał jest śmiertelny i pomimo, że powinien spowodować śmierć natychmiastową, że nieraz trafiają się zdarzenia wyjątkowe, tak, że zwierz jeszcze daleko uchodzi, a to zawdzięczając swojej sile żywotnej. Nie są to już często ruchy naturalne, ale raczej odruchy i, o ile przypuszczam, zwierz taki już przytomnym nie jest, ale pędzi go jakaś siła zachowawcza naprzód.

Chyba w ten sposób można sobie tłómaczyć zdarzenia z moim kozłem Nr. III. i IV., którym kula expansywna rozbiła formalnie serca, a jednak mimo to zdołały jeszcze tak daleko ujść od miejsca strzału.

Przytaczanych zatem przykładów mających dowieść wyższości lub większej skuteczności broni małokalibrowej lub wielkokalibrowej nie należy uważać za miarodajne, bo właśnie zdarzyć się może temu lub owemu jeden lub dwa wypadki takie, jakie ja właśnie miałem z kozłami Nr. III. i IV., które jakkolwiek powinne były paść w ogniu, szły jakiś czas jakby zdrowe. Swoją drogą trzeba mieć „pech“, jaki mię spotkał, ale o „pech“, każdemu myśliwemu nie trudno.

Ciekawy bardzo jestem, czy zdarzyło się jeszcze komu, coś podobnego z kozłami. Że zdarzyło się, to jestem prawie pewny, bo dlaczegożbym ja jeden na świecie miał mieć taki pech szalony, ale zapewne nie każdy wie o tem, bo najczęściej zadawalniamy się obejrzeniem strzału na zewnątrz, nie badając, jak tam wewnątrz kula gospodarowała.

Szumlany, 1. marca 1900.

Kazimierz Gołębski.



KORESPONDENCYE.

Suchodół koło Bóbrki, 8 kwietnia 1900.

Mieliśmy tu w ciągu tygodnia dwa nadzwyczaj ciekawe wypadki. Przed kilku dniami lis w biały dzień przybiegł na podwórze dozorcy lasowego, kręcił się jakiś czas koło domu, a widząc ludzi, którzy go kijami zaczęli atakować, nie uciekał, tylko czepił się płotu i gryzł na wszystkie boki, aż dopiero nadchodzący dozorca z lasu go zastrzelił.

Drugi znowu wypadek zupełnie podobny zdarzył się u mnie przedwczoraj. Lis około 7 godziny rano wpada na dziedziniec, uderza wprost na psa przypiętego przy budzie na łańcuchu i zaczyna się z nim gryść, aż pastuch i furman wybiegli z widłami ze stajni, i dalej bić lisa, który ani rusz nie chciał od budy uciekać, nareszcie obity co się zowie, skrył się w pobliskim szpalerze, i tu dopiero po wielkich trudach udało się go kijami wyszturkać i ubić.

Lisy te najprawdopodobniej musiały być wściekłe, inaczej trudno sobie wytłumaczyć takiego z ich strony napadu, co zresztą, i to gorsze, za tem przemawia, że miały one na sobie widoczne ślady dawnych ran, pochodzących z pokąsania przez psy lub inne lisy wściekłe.

Psa aż do krwi pokąsanego w nos i głowę kazałem też natychmiast do lasu wyprowadzić i tam zastrzelić.

Ponieważ tego rodzaju wypadki z lisami powtórzyły się tutaj dwukrotnie w tak krótkim czasie i zachodzi obawa, że zdarzyć się one mogą częściej, wypadałoby zatem zastanowić się bliżej, czy nie mamy tu do czynienia z nową właściwością lisa, który oprócz tego, że jest wielkiem szkodnikiem w zwierzostanach, podlegając łatwo wściekliźnie, stać się może nadto wskutek tego i niebezpiecznym dla ludzi i innych zwierząt. Niemniej ważnym byłoby, gdyby się można przekonać, czy wścieklizna u lisów, jeżeli ona zdarza się rzeczywiście, pochodzi przez pokąsanie n. p. przez psy lub wilki chorobie tej często podlegajace, lub też i powstać ona może sama przez się u samych lisów n. p. wskutek cieczki, głodu, niewłaściwego pożywienia lub innych przyczyn niezbadanych.*)

Tu na tem miejscu pozwolę sobie zwrócić uwagę na jedną okoliczność. Jeżeli już mamy zaprowadzić w kraju racyonalną hodowlę psów myśliwskich, co zresztą uważam za bardzo pożądane, to musimy równocześnie się postarać i o to, abyśmy mieli i odpowiednią ilość suk Dzisiaj bowiem każdy z myśliwych chętniej trzyma u siebie psa niżli sukę z powodów zresztą znanych, z czego wynika, że nieraz w promieniu kilkumilowym niema nigdzie ani jednej suki. Psy wskutek tego w czasie cieczki włóczą się światami i nikt ich w domu nie utrzyma; w rezultacie też albo zostaną zagryzione przez inne psy, albo się wściekną, albo ich ktoś obcy ubije lub ukradnie. W ten sposób straciłem ostatniemi czasy psa „settera“ bardzo dobrego, który już był w trzeciem polu.

Tegoroczna zima znowu korzystnie się zapisze w analach naszego łowiectwa. Sarny przezimowały świetnie rzadko gdzie znaleziono padłe lub poszarpane przez lisy; i gdyby nie owe mroźne wiatry wschodnio-północne w miesiącu marcu, które nam cały lęg marczaków zdziesiątkowały, byłoby i zajęcy w roku przyszłym znacznie więcej. Lecz niestety z rozmnożeniem się zwierza, a szczególniej saren, rozszerza się krok w krok i kłusownictwo, a ubolewać należy bardzo, że tutejsze władze sądowe nietylko że kłusowników karzą za łagodnie, ale co jeszcze gorsze, często ich nawet zupełnie uwalniają, narażając przytem straż leśną na częste i bezskuteczne włóczenie się po terminach i różne inne szykany, a właściciela polowania na koszta. Dla przykładu niechaj posłużą następujące fakta.

1. Przed dwoma miesiącami zaprzysiężony strażnik lasowy X. przychwycił buszującego kłusownika i odebrał strzelbę. Następnego zaś dnia idąc ku wsi, wpada na niego przy drodze z nienacka dwóch drabów — z pomiędzy których jeden był owym kłusownikiem, — walą go na ziemię, ściągają z niego buty, odbierają mu strzelbę i pobijają go tak dalece, iż tenże prawie przez cały tydzień chory leżał w łóżku. Wniesiono oskarżenie przeciwko kłusownikowi i spółce za nieprawne noszenie broni, kłusownictwo a nadto jeszcze o napad, gwałt publiczny i rabunek na drodze. Sprawy dochodził c. k. Sąd bóbrecki i po wysłuchaniu stron odesłał akta c. k. Sądowi wyższemu do Lwowa. Po jakich 6 czy 8miu tygodniach sprawa ta napowrót wraca do Bóbrki, prawdopodobnie wskutek tego, że orzeczenie lekarskie opiewało na lekkie uszkodzenie ciała, i tu ostatecznie kłusownik ten zasądzonym został wraz z swoim towarzyszem na 3 dni aresztu!!

2. Fakt drugi. Dozorca zaprzysiężony przydybawszy na terytoryum skarbowem kłusownika, wzywa go, aby oddał mu strzelbę, ten nie chce, tylko stawia opór. Dozorca chwyta go i chce mu ją wydrzeć, powstaje wskutek tego walka i wzajemne szamotanie się tak dalece, że strzelba kłusownika w rękach się łamie i wypala, szczęściem nie raniąc przytem nikogo. Nareszcie idą obaj do wójta, tam znowu zbiera się cały tłum bab i chłopów, zaczynają wymyśliwać na dozorcę i wykrzykują, że skarb nie ma im prawa bronić polowania na gminnych gruntach, że polowanie należy teraz do skarbu etc. Aby uniknąć jeszcze większych awantur dozorca zostawia strzelbę u wójta i sam się oddala. Wdrożono znowu skargi a to do c. k. Starostwa i c. k. Sądu. I cóż z tego? Starostwo zasądza kłusownika na 3 dni aresztu, c. k. Sąd zaś na ostatnim terminie przechyla się do wniosku przez prokuratora postawionego, aby odstąpić od oskarżenia, gdyż dozorca niepowinien (!?) odbierać gwałtem strzelby! Muszę to jeszcze nadmienić, że kłusownik ten już kilkakrotnie był za kłusownictwo karany, i że strzelba, którą miał przy sobie była kradzioną, jak oraz i to jeszcze, że w kilka dni później skradziono temu samemu dozorcy strzelbę z własnego domu.

*) Nie jestem bakteoryologiem ani też fachowym w tym kierunku, śmiem jednak twierdzić, że lisy, które w powyższy sposób ubito, bezwątpienia musiały być wściekłe. Szanownych czytelników, którzy coś podobnego z lisami doświadczyli, i mieli swoje odmienne pod tym względem zdanie, proszę takowe łaskawie umieścić w „*Łowcu*“ (przyp. autora).

3. A teraz jeszcze jeden fakt. Przed kilku laty strażnik lasowy Z. został przez kłusownika, który z strzelbą nabitą czyhał na zwierzynę, dość silnie pobity. Zaskarżyłem go do sądu, lecz cóż się stało? Po przesłuchaniu świadków i spisaniu protokołu, sprawa cała ucichła, jak kamień w wodę ugrzęzła. Nie wiedziałem, co to znaczy, aż dopiero po kilku miesiącach dowiaduję się z aktów sądowych, że kłusownik ten ku największemu memu zdziwieniu od oskarżenia został uwolnionym. (??!)

Tych kilka wypadków wystarczy, aby dać wyobrażenie w jak trudnych straż leśna i ci, którym opieka nad zwierzyną poruczoną została, znajdują się stosunkach, a że wobec tego przy największej nawet gorliwości niepodobna zapobiedz kłusownictwu, pojąć łatwo. Przy tak ciężkich zresztą warunkach i braku dostatecznego poparcia ze strony władz, musi się ono coraz bardziej szerzyć i rozrastać, a straż leśna, która często z narażeniem życia chroni dobra lasu i polowania zatraca chęć do pracy i gorące poczucie obowiązków.

Daleki jestem od tego, abym przez to chciał obwiniać sądownictwo nasze o parcyalność, lub złą wolę. Każdy bowiem sądzi i wyrokuje wedle własnego sumienia i przekonania, zdaje mi się jednak, że ustawa nasza ma tę wadę, (szczególniej lasowa i łowiecka), że w sprawach ważnych pozwala wyrokować sędziemu bez poprzedniego wysłuchania stron interesowanych. N. p. Zarząd lasu X. wnosi oskarżenie przeciwko Y., za kradzież drzewa lub kłusownictwo. C. k. sąd wzywa na termin oskarżonego i strażnika, który przystępcę na uczynku przychwycił, a pomijając przytem zupełnie oskarżonego wydaje wyrok.

Ustawa niemiecka, o ile mi wiadomo, ma w tym kierunku tę zaletę, że w sprawach tyczących się przestępstw lasowych i polowania, oprócz sędziego i prokuratora funguje i jeden z członków fachowych, iako rzeczoznawca, z głosem doradczym i decydującym. Gdyby tego rodzaju procedurę i u nas zaprowadzono, zapobiegłoby się wiele złemu. Wyroki wypadłyby wówczas mniej jednostronnie, i zastosowanoby ich więcej do ducha i celu ustawy. Sędzia bowiem choćby działać chciał w najlepszej wierze, popełnić może łatwo błąd, jeżeli nie posiada dostatecznej znajomości stosunków, jeżeli nie zbada okoliczności, w których niepodobna sobie wyrobić trafnego zdania, o właściwych zamiarach i istocie czynu podlegającego karom.

Jeszcze większą plagą niż kłusownictwo są dla naszego łowiectwa owi właściciele sąsiedzi, którzy nieustannie pozwalają swym pobereżnikom i podwładnym organom polować na kuchnię. Wybiwszy już dawno wszystko u siebie co do nogi, rzesza ta plącze się teraz ustawicznie wzdłuż granic a co tylko za rów wyskoczy, to pada ofiarą. Kłusownika przynajmniej można zaskarżyć, a gdy to nie pomaga tak wpłynąć na niego, że mu rzemiosło, to zbrzydnie, lecz wobec kochanych sąsiadów pasożytów jest się zupełnie bezsilnym.

Ciąg słonek był dotąd bardzo słaby, widziano dotąd dnia 6. b. m. jedną i dnia 7-go jedną. Kuropatwy zaś pojawiły się w miejscowościach takich, gdzie dawniej ich nigdy nie było, również spotkać można teraz w lasach naszych częściej jarząbki, a to od czasu kiedy zaczęliśmy na dobre tępić lisy.

R. Kesselring.

Ruda, dnia 4. kwietnia 1900.

Czytając w naszym kochanym „*Łowcu*“ z różnych stron sprawozdania z tegorocznych polowań i ja proszę o łaskawe umieszczenie wzmianki o odbytych tego roku polowaniach w dobrach radłowskich.

Jak już wspomniałem w poprzednich sprawozdaniach, lasy radłowskie składają się z 5-ciu rewirów lasowych, mających przeszło 7.000 morgów.

Do tego dzierżawi się polowania na obszarze przeszło 16.000 w 9-ciu gminach, mamy więc na polowania na obszarze przeszło 23.000 morgów.

Za obecnego właściciela, Wgo p. Henryka Dolańskiego, nie poluje się tyle, ile za poprzednich, bo są obszary, a w szczególności na dworskich polach radłowskich, gdzie już przez 3 lata ani jednego zajączka nie ubito, to też teraz roi się tam od tych maluczkich i niejednemu przejeżdżającemu podczas księżycowych nocy myśliwemu silniej krew się ruszy na widok czmychających a zestraszonych turkotem wózka zajączków.

W lasach tego roku polowaliśmy tylko w dwóch rewirach i to w rewirze Niwka i w rewirze Biadoliny a na polach polowaliśmy raz tylko, a więc przeszło $^3/_4$ obszaru zostało nieopolowane.

W rewirze Waryś polowaliśmy tylko na lisy i przy tej sposobności wolno nam było 10 rogaczy odstrzelić.

Zatem wynik tegorocznych polowań będzie bardzo mały, bo i ten mieliśmy jeszcze „pech“, że kiedyśmy polowali, to albo podczas deszczu albo podczas okropnego wichru, a to każdy z szanownych panów myśliwych przyzna mi, że na stanowisku nie jest to bardzo przyjemnem i pożądanem.

Cały rezultat tegorocznych polowań składa się z 32 rogaczy, 133 zajęcy i 22 lisów.

Słonki u nas zaczęły ciągnąć 29. marca, w tym dniu pierwsza była widziana i zastrzelona, i można śmiało powiedzieć, że bardzo słabo ciągną, bo są tylko po dwie, lub trzy przez wieczór widziane; wszystkich w tych 5-ciu dniach ubito na ciągach 4 sztuki.

Kuropatw mieliśmy w tym roku bardzo dużo, ale tylko kilka zostało odstrzelonych, bo całe zapotrzebowanie dla dworu odstrzeliwano w dobrach grębowskich, należących także do Wgo H. Dolańskiego, a ubito ich tam przeszło 300 sztuk.

Zwierzyna tego roku t. j. tej zimy bardzo mało brała ze żłobków, chociaż myśleliśmy, że przy tak kiepskich zasiewach ozimych dużo koniczyny spotrzebujemy na pokarm dla zwierzyny — żłóbki zawsze były pełne.

Karol Scherautz.

Rzemień, 15. lutego 1990.

W trzecim numerze *Łowca* z 1. lutego b. r., zamieścił w korespondencyach p. Tadeusz Potocki, cenne bardzo uwagi, tyczące się użycia pewnej części opłat pobieranych za karty myśliwskie, na premie dla żandarmów, i ścisłego ograniczenia sprzedaży prochu.

Wypłacanie premii żandarmom za odebrane kłusownikom strzelby, z funduszu krajowego, uważam za rzecz zbyt trudną do przeprowadzenia; Towarzystwo łowieckie, chyba mogłoby sprawą tą się zająć, a uznawszy słuszność i ważność tejże — mogłoby u odpowiedniej władzy, zmianę § 84 ustawy łowieckiej z 5 marca 1897 r. wykołatać. Sądzę jednak, że choćby nawet projekt p. T. Poto-

ckiego został urzeczywistnionym — to skutków doniosłych tegoż spodziewać się niestety nie możemy, przecież każdy z właścicieli polowania z wielką chęcią wypłaciłby żandarmowi premię nawet większą, jakąby z funduszu krajowego mógł otrzymać, za przytrzymanie kłusownika i odebranie mu strzelby, a jednak rzecz dziwna — nigdzie to nie ma miejsca. *)

Teraz jeszcze w dodatku te nowe szpiczaste wyzłacane hełmy, niby kopuły błyszczące do słońca lub księżyca, z daleka złodziejowi lub kłusownikowi żandarma anonsują. O szczęściu tylko mówić mogą powiaty, jak nasz naprzykład, w których przełożeni władzy politycznej, są prawdziwymi myśliwymi, tam bowiem żandarmi starają się z całych sił swoich, składać p. staroście trofea w postaci kapslówek drutem i sznurkami powiązanych. W takich tylko powiatach liczba kłusowników się zmniejsza.

O wiele radykalniejszym, zdaniem mojem, byłby ów drugi środek: „ścisłe ograniczenie sprzedaży prochu“. Zupełnie słusznie potępia p. T. Potocki, ów w miasteczkach praktykowany sposób sprzedaży prochu z „delikatesami“, tu bowiem kłusownicy mają doskonałą sposobność nabycia prochu i śrótu — niejednemu możeby nawet na myśl nie przyszło kupno prochu lub kapsli, lecz od czegoż brodaty kusiciel? „za gada (zająca) dam wam dżeszencz nabojów“.

Sprzedaż prochu powinna być bezwarunkowo w inne kompetentniejsze ręce oddaną — oto tem, zadaćby można straszny a doraźny cios kłusownictwu. Podania ostemplowane z załączeniem karty myśliwskiej i karty na broń, jak proponuje p. Potocki, powinny o sprzedaż prochu do c. k. starostwa lub żandarmeryi być wnoszone. Wtedy wkrótce stan zwierzyny w naszym kraju zdwoiłby się, bo obecnie mimo starań władz, mimo opieki właścicieli rewirów, mimo energicznego tępienia skrzydlatych i czworonożnych tylko szkodników, zwierzostany bardzo leniwo się podnoszą.

Sądzę więc, że nie stanie się to wbrew woli większości pp. myśliwych, gdy w imieniu ich udam się bodaj przez *Łowca* do galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego, którego mam zaszczyt być członkiem, z usilną prośbą, by wydział tegoż, zastanowiwszy się nad ważnością tej na pozór błahej sprawy, raczył ją energicznie kompetentnej władzy przedstawić i ku wielkiej a wspólnej naszej radości do celu doprowadzić; wtedy to z pewnością inaczej wyglądać będą sprawozdania łowieckie.

W końcu chcąc zadość uczynić woli redakcyi *Łowca*, podaję sprostowanie mylnie prawdopodobnie podanych liczb w statystyce ubitej zwierzyny w r. 1898 w powiecie mieleckim. I tak w wykazie tym podano mylnie:

Dziki	7
Cietrzewie	3
Kszyków	13
Kun	—
Wydry	—
Jastrzębie, sokoły i t. p. (zapewne wrony, sroki)	220

Gdy tymczasem ubito w jednym tylko rewirze Rzochów-Rzemień:

Dzików	15
Cietrzewie	10
Kszyki	18
Kuny	1
Wydry	1
Jastrzębie, sokoły i t. p. (zapewne wrony, sroki)	252

Gustaw Szaszkiewicz.

---

*) Ustęp korespondencyi tu umieszczony opuszczamy z powodu tak ostrej krytyki, że mogłoby to przeszkodzić pojawieniu się „*Łowca*“ w czasie należytym — do sprawy tej jednak wrócimy w innej formie, tem bardziej, że mamy liczniejsze podobne korespondencye. *(Redakcya)*.

Kraków, 25. marca 1900.

Sprawozdanie krakowskiej spółki myśliwskiej „Wisła“ za czas od 15. lutego 1899 do 15. lutego 1900.

Liczby w nawiasie oznaczają ilość ubitej zwierzyny w zeszłym roku: Zajęcy 248 (269), bażantów 4 (9), kuropatw 258 (391), kaczek 28 (9), przepiórek 8 (17), ptactwa błotnego 75 (5), razem sztuk 621 (700). Szkodników: lisów 6 (5), kotów 45 (31), psów 25 (54), łasic 44 (34), jastrzębi i sów 17 (21), wron i srok 48 (104), innych 7 (12), razem szkodników 192 (265), wszystkiego razem sztuk 813 (965). Najgorsze polowanie pod względem liczby ubitej zwierzyny było: 3 zające, 3 lisy, 4 bażanty, najlepsze 91 zajęcy.

Wielka powódź w lipcu z. r. poczyniła ogromne szkody w czterech gminach leżących na lewym brzegu Wisły. Nietylko młode zające, kuropatwy i bażanty, ale nawet stare kury bażancie i kuropatwie w znacznej ilości się potopiły. Na gminach tych zamknięte było zupełnie polowanie. Na innych kilku gminach rewie 4 pułków kawaleryi wraz z artyleryą, poczyniły też niemałe szkody. Lęg kuropatw z powodu dżdżystej pory w maju i czerwcu nie najlepiej się udał, także i zające wskutek niepogody wiosennej nie dopisały tak, jak się spodziwaliśmy. Tego roku znów sprowadziliśmy (po raz czwarty) kury bażancie, niezrażeni dotychczasowem niezupełnem powodzeniem. Zamknięcie rachunkowe wykazuje w wydatkach 2200 koron. Przyjmując kuropatwę i kaczkę za jednostkę, i że trzy ptaki błotne warte są jednostkę, zaś że zając wart trzy jednostki, otrzymamy, że każdy zając kosztował spółkę przeszło 6 koron, kuropatwa 2 korony, a ptak błotny 67 halerzy, przyczem nie uwzględnione są wydatki na polowaniach w pojedynkę, i datki członków dla straży i nagonki. Z ogólnych wydatków przypada na korzyść gmin i ludności miejscowej za:

Czynsze	1180 koron
Pensye i strzałowe dozorcom	424 „
Koszta nagonki i podwód	306 „
Razem	1910 koron

czyli 955 złr., a więc wcale pokaźna kwota, jak na taką przestrzeń i tak niewielką ilość ubitej zwierzyny. Kwota ta może być wskazówką dla władzy i zwierzchności gminnych, jak zbawiennem jest dla okolicy popieranie racyonalnie prowadzonych spółek myśliwskich. *S.*

Z powiatu jaworowskiego.

W ubiegłym sezonie odbyły się w powiecie jaworowskim polowania, 5. i 6. grudnia, w rewirach Zawadów, Wierzbiany; 23, 27, 28 grudnia, w rewirach Przyłbickich; 30. grudnia, w rewirze Bukowica ad Drohomyśl; 2, 3, 4 stycznia, w rewirach Ożomla, Rogóżno; 5. stycznia, w Lubieniach; 11. stycznia w Nahaczowie; 15, 16, 17 w Krakowcu; 20. w Hruszowicach; 23. w Hruszowie; 26, 27. w Starzyskach; 30, 31. w Wierzbianach.

Szczegółowy wykaz ubitej zwierzyny przedstawia się następująco:

Wierzbiany-Zawadów, w strzelb 14. Dzików 2, rogaczy 12, lisów 4, zajęcy 14.

Przyłbice, w 10 strzelb. Dzików 1, rogaczy 17, lisów 6, zajęcy 70.

Drohomyśl (Bukowica), w 8 strzelb. Dzik 1, rogaczy 2, zajęcy 25.

Ożomla, w strzelb 12. Dzików 6, rogaczy 12, lisów 9, zajęcy 73.

Lubienie, w strzelb 8. Deszcz rzęsisty padał przez dzień cały. Rogaczy 1, lisów 2, zajęcy 8.

Nahaczów, w strzelb 8. Rogaczy 4, zajęcy 28, lisów 2.

Krakowiec, strzelb w pierwszych dwóch dniach po 26, a ostatniego dnia 18: rogaczy 25, lisów 7, zajęcy 70, cietrzewi 2.

Hruszowice, w 8 strzelb, w 300-tu morgowym lasku. 4 lisy, 46 zajęcy.

Hruszów, w strzelb 9. Rogaczy 7, lisów 2, zajęcy 15.

Starzyska w strzelb 15. Rogaczy 12, lisów 5, zajęcy 46, jarząbek 1.

Wierzbiany-Zawadów, w strzelb 20. Dzików 2, rogaczy 13, lisów 7, zajęcy 32. Nadto odbyło się kilka pomniejszych polowań, których wynik nie jest mi znany. Oprócz tego padło na polowaniach urządzonych wyłącznie na dziki w rewirach Starzyska, Kurniki, Dzików 25; w Szkle, dzików 5; w Mołoszkowicach, dzików 3; w Przyłbicach, dzików 9; w Czernilawie, dzik 1; w Trościańcu, dzików 5; w Hruszowie, dzików 2; w Ludwinowie dzik 1; w Wierzbianach, dzików 3.

Wynik tych polowań w porównaniu z wynikiem polowań poprzedniego sezonu przedstawia się, z wyjątkiem dzików, niekorzystnie, nie jest jednak bynajmniej dowodem upadku zwierzostanów, gdyż spowodowany został jedynie tą okolicznością, że z wyjątkiem polowań w Przyłbicach, Krakowcu i Hruszowicach, które odbyły się wśród warunków korzystnych — polowano wszędzie podczas odwilży, lub nawet wśród deszczu.

Stan zajęcy nie zmalał, lecz owszem podniósł się w niektórych rewirach — obawiać się jednak należy czy marczaki tegoroczne, ta podstawa rodu zajęczego, nie wyginą.

O lisach nic się powiedzieć nie da. Padło ich nie wiele. Ponieważ jednak polowano prawie zawsze w czasie wilgotnym, przeto prawdopodobieństwo przemawia za tem, że podczas polowania były w norach. Na ponowie polując na dziki widziałem dużo śladów lisich.

Stan sarn jest w tutejszym powiecie w stosunku do ubóstwa gleby wcale dobry, niestety w rewirach niżej położonych, podmokłych, panuje między sarnami motylica.

Dziki zbyt się rozmnożyły i mimo tego, że ich padło 65, jest ich jeszcze za wiele i spodziewać się należy, że znaczne wyrządzać będą szkody w ziemiopłodach.

Kłusownictwo, jakkolwiek prześladowane, istnieje tutaj w dość dużych rozmiarach — przybrawszy najniebezpieczniejszą dla łowiectwa formę, bo łapanie zwierzyny na druty. Oprócz tej plagi mamy, niestety, w powiecie kilka większych obszarów z samoistnem uprawnieniem łowieckiem, gdzie właściciele niemyśliwi, nie tylko, że nie dbają o podniesienie zwierzostanów na własnych obszarach, lecz co gorzej, przez swych gajowych i notorycznych kłusowników prowadzą dewastacyjną gospodarkę łowiecką ze szkodą sąsiadów. Zaprzeczyć się nie da, że właściciel samoistnego polowania ma prawo żądać, aby użytkował rogacze i zające z własnego terenu. Jeżeli jednak nie jest myśliwym, to sądzę, że zresztą przy dobrej woli z większą korzyścią dla siebie i dla łowiectwa powinien korzystać z tego prawa polowania przez wydzierzawienie takowego bądź to za gotówkę, bądź za z góry umówioną ilość zwierzyny osobie, która będzie umiała i chciała prowadzić racyonalną gospodarkę łowiecką na jego terenie. Niestety jednak u takich właścicieli rozchodzi się nietylko o możność wystrzelania do nogi bez pozostawienia nasienia zwierzyny wychowanej wolą Boża na jego terenie, lecz co więcej, o możność osiągania korzyści z tej zwierzyny, którą sąsiad myśliwy, nie szczędząc trudu i wydatków, wychował u siebie, a która przypadkowo zaszła na teren takiego właściciela.

Na takich pasożytów łowiectwa nie ma środków w ustawie. Jedynie możliwe byłoby zrobienie użytku z postanowień ustępu C. §. 35. ustawy łowieckiej, to jest postaranie się u władzy admistracyjnej I. instancyi o zupełne zamknięcie takiego polowania na dwa lata.

Powie może kto, że to nie jest po sąsiedzku, ale ja się pytam, czy to jest po sąsiedzku niszczyć zwierzostany sąsiada? Takich panów należy uważać za nihilistów łowiectwa, bo kto burzy, a nie odbudowuje, ten jest nihilistą, a oni burzą z całym wandalizmem zwierzostany własne i cudze a nic dla ich odbudowania nie robią.

K. Strzemię.

Tarnów, w marcu 1900.

Nie należę do amatorów i zbieraczy parostków sarnich anormalnych, tak zwanych mylników i przyznać się muszę, że zamiast dziwacznych, chorobliwych tworów, wolę tęgie rogi kapitalnego rogacza, pięknie uperlone, w tym jednak wypadku nie mogę odmówić oryginalności, a nawet piękna okazowi mylnika. Zdaje mi się, że drugi taki okaz nie prędko znaleźć można, dlatego przy pomocy rysunków chcę czytelnikom „*Łowca*" przedstawić oryginalność form tych parostków, przypominających bardzo rogi baranie. Ponieważ skręty śrubowe dość trudno należycie uwydatnić jednym rysunkiem, dlatego przedstawiam w trzech widokach: z przodu (fig. 1), z tyłu (fig. 2) i ukośnie patrząc z boku (fig. 3).



Rysunki są zupełnie wiernie z natury zdjęte mniej więcej pół naturalnej wielkości.

Rogacz ten padł w pierwszych dniach listopada zeszłego roku w wiklinach nad rzeką Dunajcem, na polowaniu gminnem w Bobrownikach wielkich, dzierżawionem przez p. S. z Tarnowa.

Ponieważ teren ten z niektórych względów zasługuje na szczególniejszą uwagę, dlatego chcę i o nim kilka słów napisać. Składa się on z pól urodzajnych, okraszonych znacznymi obszarami zarośli wiklowych, położonych nad rzeką, dlatego zaliczyć go można z tutejszych terenów dzierżawionych do najpiękniejszych pod względem polowania. Zwierzyna tu ma wszelkie warunki dobrego bytu, bo w zaroślach wiklowych, należących przeważnie do c. k. funduszu budowli wodnych, ma doskonale schronienie i zaciszny kąt; z jednej strony wiklin są urodzajne pola, dostarczające pożywienia, z drugiej zaś woda, będąca też głównym warunkiem dobrego bytu zwierzyny. To też roi się tu podczas jesiennego ciągu od ptactwa przelotnego jako to: kaczek wszelkich gatunków, kulonów stepowych (posiewka większa), a czasem i gęsi dzikie zapadają na obszernych odsypiskach Dunajca. Szczególniej dla kuropatw są brzegi Dunajca idealne dla rozmnoży kuropatw, bo mają wszelkie wygody, jakich gdzieindziej ten poczciwy nasz kurak nie ma; schronienie przed jastrzębiem, pożywienie wykwintne, woda i piaseczek między wodą a wiklinami do paprania się i wygrzewania na słońcu. Siesty tej w piasku człowiek im nie zamąci swoją obecnością, bo między wiklinami, a wodą chyba rybak czasem się zjawi, lub mykita, którego wszędzie pełno, może stadko zaatakować, ale prześladować ich nie potrafi, gdyż kuropatwy, zerwawszy się, ciągną natychmiast i to prawie bez wyjątku, na przeciwny brzeg. Z tej też przyczyny i myśliwy nie może im wiele krzywdy wyrządzić, zwłaszcza, jeżeli nie posiada obydwu brzegów.

W ogóle nad rzekami Dunajcem, Wisłoką i Wisłą ma zwierzyna doskonałe warunki bytu i zajęcy winno być tu wszędzie mnóstwo, a jednak tak nie jest. W ostatnich latach motylica wydusiła wiele a i siłki druciane, zastawiane przez kłusowników osiadłych nad brzegami rzek, duszą może jeszcze więcej i w każdej porze roku. Ja sam, choć nie jestem zającem, a złapałem się nieraz za nogę podczas pomiarów rzeki na taką siłkę. Szczególniej nad Wisłoką spotykałem takich siłek mnóstwo — zastawione są zawsze na ścieżynkach, któremi zwierzyna przychodzi i wraca do wody. Nawet i chytry lisiura łapie się na taką siłkę, czego dowodem jest fakt, że wieśniacy pod Tarnowem chwycili przy pomocy psów lisa strasznie wynędzniałego, który miał na karku urwaną siłkę drucianą. Szyję miał tak przez siłkę skaleczoną, że mu ją robactwo toczyło.

Ten rodzaj kłusownictwa jest tutaj bardzo zgubnym dla zwierzyny, a to tembardziej, że o ile z mych spostrzeżeń wnoszę, jest ogólnie przyjęty przez tutejszą ludność osiadłą nad rzekami.

A. Korasiewicz.

Z nad Wisły pow. dąbrowski.

W artykule „Sarna“ hr. S., który to artykuł sprawił czytelnikom, zwłaszcza opisem zdarzeń przez szanownego autora przeżytych, prawdziwą przyjemność, znajduje się pewne twierdzenie, na które tylko przy wielu zastrzeżeniach może zgodzićby się można. Jestto ustęp: sarna szkodnik jest głównie polny a w rewirach, gdzie na sarny się skarżą z pewnością ich zimą nie paszą, a w ogóle dla nich nic a nic nie robią.

Innemi słowy: masz szkody od sarn w kulturach, to dowód, że nie karmisz zwierzyny, a to zaś dowód, że tak gospodarstwo leśne jak i łowieckie niezbyt postępowem być musi. Analiza ta, dalej prowadzona, może doprowadzić jeszcze do dalszych, a zawsze właściciela czy jego urzędników, fatalnie obciążających wniosków, a co najgorzej obciąży urzędników lasowych względnie łowieckich wobec chlebodawcy. Otóż na szczęście, a właściwie nieszczęście, możemy stanowczo wypowiedzieć przekonanie, że w kraju naszym sarny chociaż nie nad miarę rozmnożone robią zawsze szkody w kulturach, chociaż je się karmi najracyonalniej. Smutne to doświadczenie zrobiono w kraju naszym, właśnie w gospodarstwach wzorowych pod względem leśnictwa i łowiectwa, n. p. w dobrach krzeszowickich, łańcuckich, dzikowskich i t. d. Że szkody te nie są w stopniu jednakowym wybitne, zależy to z jednej strony od rodzaju drzewa tworzącego drzewostany, od systemu gospodarstwa leśnego, wreszcie od indywidualnych właściwości nietylko pewnych rodów sarnich (względnie rodzin), lecz nawet osobników poszczególnych. Nowość, a względnie rzadkość rośliny pociąga sarny i tak: w drzewostanach liściastych, kultury szpilkowe (zwłaszcza sosny) i odwrotnie — bywają wprost niszczone przez sarny. Między wielu innymi przykładami miałem sposobność przez lat kilka widywać kulturę jodłową dokonaną pod okopem starodrzewia dębowego, która to kultura przez tych lat kilka literalnie nie mogła wznieść się — odróść, z powodu żarłocznych mordek sarn i zupełnie skarłowaciała; a zapewniam, że sarny w tym rewirze właśnie były wcześnie, doborowo i obficie żywione. Chcąc być zwięzłym, nie rozwijam tego tematu dalej, mam jednak miłą nadzieję, że szanowni czytelnicy, a zwłaszcza leśnicy zawodowi, poruszeni mojemi słowami, podzielą się doświadczeniem w tej sprawie, a zbyt ona ważną dla tych, którzy setki wydają rocznie na naprawy szkód przez sarny w kulturach zrządzone, mimo, że drugie setki idą na karmę. Reasumując, powtarzam, że nie ośmieliłbym się postawić tak kategorycznego twierdzenia, jak powyższe, przyznaję zaś, że nielogicznie byłoby twierdzić, że karmienie szkód tych nie zmniejsza.

W dalszym ciągu tego artykułu wkradł się błąd, zapewne z winy zecera, tak dotkliwy, że wprost ubliżającem było by komentowanie wszelkie. Jestto umieszczenie jemioły między „krzewami względnie ziołami“ i przepisanie dla niej wspólnych z niemi warunków rozwoju.

Przy tej sposobności, oświadczam w imieniu wielu myśliwych tutejszej okolicy, że bez żadnych zastrzeżeń solidaryzujemy się z zapatrywaniami szanownego autora korespondencyi z Chorzelowa, w sprawie aklimatyzacyi tak niesympatycznego wyrazu jak sarnik, i wdzięczni mu jesteśmy, że w sprawie tej pierwszy głos podniósł.

A. R. R., delegat.

Na sezon!

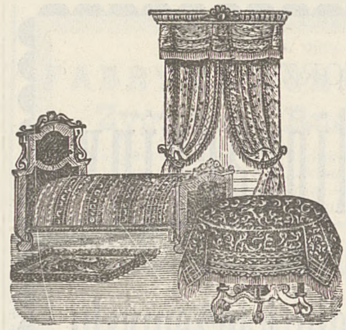
Otrzymaliśmy właśnie transport i polecamy **po cenach najniższych:**

Rogóżki kokosowe szczotkowe i plecione w różnych wielkościach,
Chodniki kokosowe,
Chodniki z Linoleum,
Chodniki ceratowe w kilku szerokościach,
Przedściółki z Linoleum,
Przedściółki ceratowe w różnych deseniach i rozmiarach,
Maty japońskie na ściany i przed łóżka,
Ceraty na stoły i meble wszystko bardzo gustowne i w wielkim wyborze

Friedrich i Beacock

Lwów, ul. Hetmańska liczba 4.

4—6 obok cukierni Wgo Grossa.



AWIZO.

Renomowane i najtańsze źródło zakupna wszelkich gatunków dywanów, firanek, portyer, chodników, kołder, kap na stoły i łóżka, koców, der na konie i rozmaitych przedmiotów dekoracyjnych.

Podług umowy udzielamy także chętnie ulg w spłatach.

Na żądanie wysełamy illustrowane cenniki

darmo i opłatnie.

Specyalny oddział prawdziwych oryentalnych, perskich, indyjskich i smyrneńskich dywanów, sprowadzonych wprost z odnośnych okolic Wschodu.

ZARZĄD WIEDEŃSKIEGO MAGAZYNU

„AU LOUVRE“

we Lwowie, ul. Sykstuska l. 6.

121a—12—12 Biuro ekspedycyjne w Wiedniu IX. Hahngasse Nr. 33.

A. Krzysztofowicz

Lwów, plac Halicki l. 2

Dywany, Materye na meble, Firanki,

Portiery, Chodniki

Wybór kolosalny

Ceny mierne.

Poleca:

Makaty,
Gobeliny,
Parawany,
Ekrany,
Poduszki,
Meszty tureckie,
Szaliki,
Futra pod nogi. 10—24

Osuszenie wilgotnych ścian, wytępienie grzyba, odwodnienie piwnic i mokrych gruntów, izolowanie ścian i murów fundamentowych naturalnym gorącym asfaltem, kanalizowanie realności i urządzanie zbiorników betonowych, krycie dachów tekturą asfaltową, dachówką i łupkiem. Wyposadzkowanie wszelakich ubikacyj, począwszy od salonu i całego domu mieszkalnego aż do magazynów, warsztatów, zakładów przemysłowych, śpichrzy, stajen, krowiarń, jakoteż i podwórzy — rozmaitymi materyałami, jakoto: płytkami keramicznemi (szteingutowemi), tak w jednym kolorze, jak i w najbogatszych deseniach dywanowych, klinkierami, płytkami cementowemi różnokolorowemi, asfaltem, betonem, wreszcie najnowszem „Magnolith“, tworzącem podłogę jednolitą bez fug, twardą do niezużycia, a jednak ciepłą i przyjemną jak podłoga parkietowa. Kompletne urządzenie klosetów z zastosowaniem do wodociągów i bez; urządzenie ogrzewalnych łazienek domowych itp. itp. — Wszystko to wykonywa z fachową umiejętnością firma

J. RZĘDOWSKI

we LWOWIE ul. Sykstuska l. 16 — **w PRZEMYŚLU** ul. Mickiewicza.

telefonu nr. 257 i 277.

Nadto utrzymuje się na składzie wszelkie w zakres budownictwa wchodzące materyały. — Na żądanie wysela się cenniki i specyalne oferty. 130—11—24

NAJWYBORNIEJSZYCH

½ Kg.	cukrów deserowych jako to pomadki, czekoladki etc.	zł. 1·20
„	Biskwitów ang. i herbatników	„ 1·—
„	Karmelków mięszanych	„ —·75
„	Cacao odtłuszczone proszkowane	„ 1·50
„	Czekolady wybornej od 70 ct. do	„ 1·50

poleca codzień świeże

HENRYK TRETER

właściciel parowej fabryki cukrów i czekolady we Lwowie. 116—13 24

Kupujmy znakomite wyroby własne, precz ze sprowadzoną tandetą!

Broń myśliwską

przybory do polowania, szermierki, podróży

poleca

MAGAZYN NOWOŚCI E. MACHAYSKIEGO

we Lwowie, róg ulicy Jagiellońskiej i 3-go Maja.

92—14—24

ZAKŁAD

handlowo ogrodniczy

JANA KLIMOWICZA

rok założenia 1826

we Lwowie, ul. Gosiewskiego L. 1

obok klasztoru PP. Sakramentek

poleca na sezon wiosenny nasiona wszelkiego rodzaju, drzewka owocowe, krzewy ozdobne, kwiaty, wieńce, bukiety ślubne i balowe po cenach nader niskich.

Proszę Szanowną P. T. Publiczność z powodu, że są dwie firmy jednego nazwiska, o dokładny mój adres. 4—24

Świeże nasiona

jarzyn, kwiatów, traw, buraków pastewnych, koniczyn, lucerny francuskiej i nasion lasowych

poleca po cenach najtańszych i w najlepszych gatunkach

6—24

główny skład

nasion, roślin i kwiatów

Z. Mękarskiego

we Lwowie, pl. Halicki l.

Cenniki nasion na żądanie franco.

Dla obszarów dworskich

polecają 3—24

Piotr Mikolasch i Sp. Lwów

ul. Kopernika, 1.

w doborowej jakości po cenach konkurencyjnie niskich

farby, lakiery, pokosty,

Węże spiralne
Węże konopne
Węże gumowe
Płyty gumowe
Płyty asbestowe
Sznury gumowe
Kule gum. do wentylów
Szkło do wodoskazów
Przyrząd kauczukowy przeciw wzdęciu
Trokary
Klistyry cynkowe
Klistyry gumowe
Amoniak
Wyroby „Kwizdy“
Bajc do pszenicy
Szczotki do kadzi
Oliwa do maszyn
Oliwiarki
Pasy skórzane ang.
Rzemyki do szycia
Śruby do spajania pasów
Pirolinę do świecenia 75% tańszą od nafty i niezapalną
Latarnie
Pochodnie naftowe
Sól glauberska
Sól bydlęca mielona
Sól bydlęca w kawałk.
Chemikalia i t. p.

Perfumerya, kosmetyki, artykuły toaletowe, gąbki etc.

Cenniki gratis i franco.

Jedyna pracownia w kraju

ul. Kołłątaja l. 5.

emaliowania metali, rowerów, blaszane i kuchenne naczynia, stoły, łóżka i t. d. Lakierowane w piecu, wypalane na sposób berliński i wiedeński, zakład malowania szyldów, złocenia figur, krzyżów, imitowanie drzewa i marmurów i t. p. roboty budowlane i portalowe wykonywa uczciwie po najniższych cenach

J. Krzanowski

lakiernik.

137 12-24

Przez długoletnią praktykę wypróbowane, a nawet w zastarzałych wypadkach pewnie, gruntownie i trwale działające

Środki na parchy, choroby skórne, i wrzody u psów

są do nabycia u weterynarza

Franciszka Ehrenhöfera

w Neunkirchen

(Austrya dolna).

Liczne i pochlebne świadectwa do dyspozycyi. — Udzielam także listownie rad w innych chorobach psów. 124—12—24

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redakcya: Lwów, ul. Karola Ludwika l. 1. Redaktor odpowiedzialny: **Edmund Kolbuszowski.**
Z drukarni „Słowa Polskiego“ we Lwowie — pod zarządem Z. Hałacińskiego.